

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycyń mąd kwartał. 1 Złr. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha.

KRÓL DZIADÓW.

I.

Kłopoty pieniężne.

(Ciąg dalszy).

Z tego wszystkiego łatwo zrozumieć, że pan graf był w ambarasach pieniężnych. Po jakiej drodze do nich przyszedł, by wytłumaczyć, kilka słów na to wystarczy. Jestto wiecznie jedna droga, dobrze nam w kraju znana, mianowicie na początku terażniejszego stulecia ubito doskonale tę drogę mnogimi gonitwami. Jest to droga rozrzutności i nieogłędnej niedbałości. Już ojciec pana Ignacego mocno nadwreżył znaczną fortunę, spadła po zamożnych dziadach, którzy w Rzeczypospolitej znaczne piastując urzęda, znacznymi także obdarzani bywali królewsczyznami, a przez związki z pierwszymi w kraju domami do coraz większych przychodzili dostatków. Ojciec pana Ignacego był to człowiek wylany całym sercem dla ojczyzny, której upadku wypadło mu być świadkiem. By powstrzymać ten upadek, nie szczędził wymowy na sejmach, krwi na polach nieszczęśliwej wojny domowej, ani też mienia własnego, które hojną sypał ręką na usługi krajowe. Po śmierci ojca został pan Ignacy małym jeszcze chłopięciem pod opieką matki, damy wielkiego rodu, która przeniosła się do Wiednia z droгим synkiem, w myśli by mu nadwyzczaj świetne dać wychowanie. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że nieszczęśliwie wydała wydatków na jego wychowanie; młody Ignas miał w domu całą akademję uczonych ze wszystkich krajów, którzy rozmaitemi mówiąc językami, istną z głowy Ignasia zrobili wieżę Babel. Była li to zresztą wina nauczycieli czy ucznia, trudno odgadnąć; są zaiste role niewdzięczne, na których najlepsze nasienie kąkolem zejdzie. Pobył w Wiedniu, pańskie w nim życie, książęce wychowanie, nadwreżyły niepomatu majątek Wyżyńskich; ale co gorzej wyrobiły w młodym grafie (bo się matka postarała o grafostwo) mnogie paniczowskie, fantazje między którymi najulubieńszą była wyrzucenie pieniędzy prawdziwie za okno, na wszystkie zachcenia najkapryśniejszej rozpusty. By przecie zając jakies stanowisko rodu i majątku godne i światu okazać wysokie zdolności swoje, wybrał sobie zawód dyplomatyczny, przekonany, że w krótko najpierws

ministrowie europejscy do niego chodząc będą na naukę po nowe pomysły, które mu bujały w dumnej i zarozumiałej głowie. Nie długo było tej dyplomacji. Przez lat kilka wisiał przyczepiony do małej jakiejś ambasady, jako nadliczbowy cheyalier d'ambassade, poczem nagle zjawił się w ojczyźnie, którą ledwie znał. Matka już nie żyła, kilka wiosek było przedanych, a choć zostało jeszcze kilkanaście, było na nich mnóstwo długów, nieład ogromny, i na dobitek nieszczęścia pojawił się rodzony brat starszy, o którym dawno już zapomniał pan Ignacy. Stanisław Wyżyński był o lat kilkanaście starszy od p. Ignacego i po śmierci ojca, dzieciuchem prawie jeszcze poszedł do legionów i razem z tylu innymi ziolkami swemi przebył to wielkie Epos, którego wstępem była rewolucja francuska a treścią Napoleon. Skąpe odbierał on zasiłki z kraju, ale to było mu obojętnem, on miał w sercu niewyczerpany skarb nadziei, żądzy sławy i chęci poświęcenia się. Pan Ignacy swym dyplomatycznym rozumem wyrachował, że przy tylu walnych bitwach i nie mniej krwawych potyczkach p. Stanisław albo już zginął albo zginąć jeszcze musi. Niepospolicie się zadziwił a nawet oburzył, gdy w lat trzy czy cztery nieproszony, niedziękowany, pojawił się brat Stanisław, jako wracający z niewoli ex-major.

Lecz o panu Stanisławie później. Pan Ignacy wróciwszy do kraju, wziął się do uporządkowania interesów swoich, i tak kapitalnie porządkował, że rok rocznie odpadała wioska od klucza Wyżynieckiego, a natomiast do tabuli krajowej przybywała nowa pozycja; ale prawda, że żył całą gębą po pańsku. Fantazje jego, któremi ziolków zadziwił i naszym obyczajem do małpowania skłaniał, stały się sławnymi, a pan Ignacy był wyrocznią wszystkich półgłówków, którym niestworzone puszczał baki o swej karierze dyplomatycznej, dla tego tylko porzuconej, że za zdrość peruk starych niedopuszcila jeniałnych pomysłów jego, mogących przecie w onem Europy krytycznem położeniu dać ratunek, a nawet nowy zupełnie kierunek nietylko Europie, ale nawet całemu światu, dopóki wówczas był znany, ze wszystkimi wyspami i oceanowym obszarem. Już to u nas jeżeli nawet zabraknie innego jeniusza, potrafiemy przynajmniej jeniałnem wyrąbać się kłamaniem.

Tak siejąc i wyrzucając za okno i pieniądze i zdrowie, nie długo mógł się utrzymać p. Ignacy na szczycie swych salonowych powodzeń, które go nareszcie znużyły,

wyssawszy z niego i moralną i fizyczną i wszelką szlachetność, jeżeli się tam w nim kryło co jeszcze z pocziwej dziadów krwi. Trzeba się było ratować koniecznie, a więc się ożenił dosyć majętnie, i znudzony miastem zaczął żyć na wsi, życiem angielskich magnatów. W ówczas postanowił wybudować pałac, i zaczął od portyku. Ale już interesa szły coraz gorzej; posag żoniny wpadł bez znaku w przepaść długów i lichwy, z której niepodobieństwem było dla p. Ignacego wydrapać się. I tak z dnia w dzień żył tylko goniąc za nowemi conceptami, któremi dałoby się wykręcić nieco grosza na życie, jeżeli nie tak już pańskie jak dawniej, ale przynajmniej wystawne na oko.

— Bo Wyżyński jest Wyżyńskim, pan panem i basta!... mówił graf Ignacy z pogardliwym wydukiem ust, któremi dmuchał na resztę poziomego świata.

Rozpatrzywszy się nad jego położeniem, wraeajmy teraz do niego.

Może już raz dziesiąty biegał po kancelarji, gdy otworzyły się małe drzwiczki w kącie ukryte, któremi przez małe sionki wychodzić można było do głównej sieni, aby nie iść przez salon bawialny. I przez te drzwi pojawiła się naprzód ręka z jarmurką, potem broda szpakowata, a narazie cały żydek w stroju starozakonnym, mały, żywy, z oczami biegającymi w okolo, jakby dwa szatany uwijające się po świecie za różnemi zdradami.

Graf postrzegłszy go skoczył ku niemu skokiem tak zajadłym, że zdało się prawdziwie, że go rozedrze. I jakżeby chętnie rozdarł, gdyby nie nadzieja, że przecież da się co wydusić jeszcze z Sruła Feigele, który był jedną z najznakomitszych figur w okolicy. O małych dwie milek od Wyżyniec było miasteczko Niżyńce, znaczne dosyć i handlowne, które dawniej należało do majątku Wyżyńskich, których dwa klucze, Wyżyniecki i Niżyńcecki były najpiękniejszymi niemal w całym kraju majątkowemi perłami. W tem tedy miasteczku, którego wieże widać było z okien facjaty wyżynieckiej, głównym handlarzem wołów, kupcem zboża i wódki, rządowym liwerantem i bankierem był wspomniany już Sruł Feigele. Całą on okolicą trząsł nielitościwie i był poniekąd jej władzcą, mając pod sobą do wykonania swych zamysłów mnóstwo podrzędnych żydków, którzy arendarząc po okolicznych wsiach byli jego faktorem i policją razem, i mając ku pomocy dwie ogromne władze: złoto i lichwę. Złotem przyciągał, lichwą obdzierał. Jego ogromny pulares, bez którego nigdy się nie ruszył z domu, był prawdziwym potworem polykającym okoliczną szlachtę, której całą nomenklaturę zdybać w nim można było na mnogich wexlach.

— A przecież! zawołał Graf Ignacy i stanął w skoku jak wryty przed zimnym i szyderczym uśmiechem pana Sruła.

— Niemiałem czasu! odrzekł niedbale Sruł. Zatrzymał mnie pan prezes.

— Co? ten ex-burmistrz Wicewicz!...

— Który jasnego pana nazywa ex-panem.

— Błazen!...

— Ale ma grube pieniądze i pożyczca...

— Pożyczca!... zawołał Graf zmiecionym głosem i zaiskrzyły mu się oczy.

— Ale tylko na bardzo pewne hipoteki...

— Może mówiłeś?...

— Mówiłem z nim!...

— I jakże?...

— Nie!.. nie będzie nic z tego...

— Nie będzie!... żalośnym zajęczał głosem pan Ignacy.

— Mówiłem już że wun bezpiecznej szuka hipoteki.

— Alboż ja nie mam hipoteki?..

— Hipoteki i... powtórzył żydek z nśmiechem, którego wyrazu słowem niepodobna oddać. Było w nim szyderstwo szatana, gdy już pochłonie swą ofiarę i drwi z jej ostatniej, kurczowej walki.

— Przecież ja mam!...

— Nu co jasny pan ma, to ja wiem najlepiej. Z pożyczki nic być nie może.

— U Wicewicza zapewne, bo to nieużyty skąpiec; słyszałem nawet, że podobno zakopuje pieniądze.

— Zakopuje! powtórzył żydek potwierdzającym głosem, i cmoknął ustami, jakby coś nader smacznego skosztował. To wielki człowiek! dodał.

— I gdzie też?.. zapytał Graf.

— Ba gdzie?.. odpowiedział żyd.

I oba przez chwilę spojrzeli na siebie i spuścili oczy w dół, a nastąpiło krótkie milczenie.

— Lecz miałeś mówić panie Sruł z innemi...

— Z innemi! aj waj! a gdzież te inne.

— Przecież!...

— Oni tu u mnie wszyscy! odrzekł żyd uderzając się w piersi, z których sterczała przez żupan ogromna pularesu peryferja.

— Ale sam może.

— Ja! ja!... pan Graf żartuje. Ja pana żałuję, ja na grafie nie jedno zarobił, ja bym chętnie grafowi pomagał, ale Sruł, póki żyje nie pożyczyci więcej grafowi, bo Sruł choć jest żyd, jak goje mówią, Sruł ma rozum i tu i tu; dodał wskazując na głowę i na brzuch grubym trzosem obwiązany. Ja jeszcze mam u grafy sześć tysięcy z ostatniego kontraktu na wódkę.

— Właśnie dla tego; znajdź kogo, by mi pożyczyci dziesięć tysięcy, a odbierzesz swoje.

— Ja grafowi odstąpię te pięć tysięcy za dwa tysiąców, ale proszę o pieniądze zaraz. Żeby ja nawet pożyczyci gdzie, to jużby Sruł grafowi odstąpił z jednego tysiąca na swojego wexla.

— Więc wszędzie próbowałeś?

— Jadąc z Niżyniec byłem nawet w Łypkowcach.
 — U Glinieckiego.
 — To także fein Puryc! wielkiego ma głuf.
 — I robiłeś mu propozycję...
 — Na wszystkiego boków.
 — I cóż?...
 — Odmówił!...
 — Odmówił!... Gliniecki!.. zawołał Graf z nieudaniem przerażeniem. Wszakże on zawsze taki dla mnie grzeczny, pełen oświadczeń, uniżonych ukłonów.

— To jeszcze z dawnej ekonomowskiej natury pochodzi. Ale pieniędzy wan grafowi nie pożyczysz. Wun by prędzej dał córkę młodemu grafowi.

— Wierzę! wierzę!.. mruknął graf i wpatrzył się w żyda. A wiele też by dał posagu?..

— Za życia nie!.. po śmierci..

— Pał go djabli!.. po śmierci; on młodszy odemnie!.. a przecież! przecież!.. Jaki on może mieć majątek?..

— Jak ja miarkuję.. będzie miał 200.000 srebrem.

— I ma dwie tylko córki... ale obie młode jeszcze, i mój Eugenjusz smarkacz jeszcze.

— Aj waj! piękny mi smarkacz!.. pod wąsem...

— Pomyślę ja o tem... ale tn dziś ratować się muszę. Słuchaj panie Srule!.. znasz położenie moje.

— Oj znam, i dobrze znam; wyrzekł Srule z niewymownie pogardliwym wyrazem.

— Ja nie mam grosza w domu... a przecież nie mogę tak żyć jak ten kutwa Gliniecki, albo ten obrzydliwy Wicewicz.

— A dla czego nie?..

— Bo ja Wyżyński!..

— Ja Srule Feigele!.. a żyję przecie skromnie.

— Ty tego mój Srule nie rozumiesz! przerwał graf tłumiąc niecierpliwość.

— Ja to dobrze rozumiem... co to już dziś wszystko pomoże... świat się zmienił; czas dla Wyżyńskich już przeszedł, teraz się zaczął dla Feigelesów... Au przepraszam, graf się gniewa, niecierpliwi, i ja nie mam czasu; ja muszę jechać aż za Dniestr, gdzie mam kupić kilkaset korey zboża.

— A żebym ja co sprzedał..

— Co?.. zapytał żyd z komicznym zadziwieniem.

— Moznaby kontrakt zrobić na zboże, na wódkę.

— Na tę co będzie za dwa leciech...

— Gdybyś przecie chciał pomódz, kochany panie Srule.

— Nu ja jegomości szczerze powiem, z tego nic nie będzie... niema kupców.

— Jakto niema kupców u nas?..

— Niema! bo któż tu kupi bez Srule Feigele.

— A więc żadnego niema ratunku? zawołał graf, ściskając usta i pięście.

W tej chwili spokojna i dyplomatyczna twarz grafa przybrała wyraz tak złowrogi, jakby myśl zbrodni łysnęła z oczów, i usta srogim pokurczyła uśmiechem. Ależ bo bankrutujący, to jest okropne stworzenie w swej chęci ratowania się. Każda w nim żyła drzy żądzą złota. I nie może pogodzić się z tą myślą, że on, co wczoraj jeszcze zbytkowe pędził życie, dziś, jutro zginąć w nędzy może. Bo że tam jakieś z głodu giną biedne charłaki! nic nadto naturalniejszego; ale on pan z panów, on, co niedawno jeszcze po pierwszych stolicach europejskich za pan brat obcował z pierwszymi wyższościami społecznymi, on miałby cierpieć nędzę. Nie! to niepodobna, to sen tylko!... Aby wrócić do dawnego stanu tak miłego, do tych miękkich i rokosznych uczuć, do których się przecie przyzwyczaiło i urodziło, czegoż potrzeba?.. Złota! nie tylko złota! a przecie tego złota jest tyle na świecie! I tyle głupców posiada go, co nie umieją użyć, którzyby by powinni mieć sobie za szczęście, że pomogą jemu do odzyskania dawnego stanowiska. A więc trzeba mieć to złoto!.. trzeba je mieć koniecznie.

— Ny!.. czego Graf się tak rzuca, tak srogo patrzy na mnie... ja grafa żałuję bardzo; przerwał Srule.

— Więc niema ratunku? powtórzył graf.

— Ja tego nie mówię!..

— Jakto.. masz jaki ratunek?... poczołwi kochany Srule!..

— Jeszcze jedną mam myśl!..

— O ty złota głowo!..

— Jednego znam jeszcze, co ma pieniądze...

— I pożyczysz mi?..

— Pożyczysz niezawodnie!..

— Gdzież jest ten zacny nieoszacowany człowiek?... Wun ma grube pieniądze, choć nikomu nie mówi; ale Srule wie wszystko. On ma i stare złoto, i stare srebro, bo w papiery nie wierzy. U niego by graf może i dwadzieścia i trzydzieści tysięcy i więcej dostał.

— I gdzież on jest...

— Ale do niego trzeba pojechać samemu, i trzeba się przypodchlebić, bo to prosty człowiek.

— Ale pojedę, pojedę, gdyby najdalej; mów już tylko raz, gdzie mieszka, jak się nazywa?..

— Zna jasny graf Hoszów?..

— Co?... Ho...szów!.. wyjąknął graf i cofnął się parę kroków, a czerwonosc na twarzy, chwilową nadzieją wywołana, zaczęła ustępować.

— O tóż tam mieszka ten, co go to tu wokolicy nazywają królem dziadów!..

— Kto?... krzyknął nagle graf głosem zmienionym i pobladł okropnie.

— Co grafowi takiego? zawołał żyd przerażony na

na prawdę, i żywe swe oczy wlepił w niego z świdrującą ciekawością.

— I ty śmiesz mi taką propozycją robić! krzyczał dalej graf w uniesieniu niezwykłym, zapomniawszy w tej chwili na wszystko...

C. d. n.

NIEWIERNY.

Niebiegaj dziewczyno
Po wieści do źródła,
Dzisiaj dni twe płyną
Błogo, a w spokoju.

Li czasem tęsknota
Niby chmurka mała,
Oczka ci omota,
W których iskra drgała.

I łezka posełka
Na rzęsy się wieszka;
Ból taki, igielka,
Kole i pociesza.

Bo wyszywa potem
Nitkami z promienia,
Na kobiercu — złotem
O lubym rojenia.

Po rzece wstecz fali
Czołno się kołysze,
Niem z boju wracali
Nóćąc towarzysze:

— Nie biegać dziewczyno
Bo fala nie wróżka,
Złote sny zagina
U twego serduszka.

Twój młody — pancerny
Walczył wśród Podola —
Pancerny — nie wierny,
Nie powróci z pola.

Milsza mu od ciebie
Na polu mogiła...
Powiedział: aż w niebie
Odpyta mię miła.

— Zariosą mię brody
Kochanku do ciebie!...
Wskoczyła do wody...
Czy się zdybia w niebie?

Przez rzeki głębiny

Czołno płynie dalej:

Oj szkoda dziewczyny!

Chłopcy zaspiewali.

Mieczysław R..

POPAS W CHEĆCINACH.

wyjątek z pamiętników niedrukowanych.

(Ciąg dalszy).

Widok morza w obec usposobienia z jakim nad niem stanąłem, był takim widokiem, który trudno opisać. Widziałeś pan kiedy w życiu swoim morze? — rzekł do mnie. —

— Nie, nigdy, odpowiedziałem.

— Żałuj pan tego, kto tylko zna ziemię i niebo a morza nie widział, ten jeszcze całej wielkości stwórcy nie poznał. Ale panie któż choćby znał ziemię, niebo i morze, pojąć nieograniczoną wielkość Boga jest zdolny? I ziemia i niebo i morze, chociaż są dziełem Boga najwyższego, chociaż nam się zdaje że jesteśmy jak ludzie najdoskonalszem jego stworzeniem, jednak, znając ziemię, znając niebo i morze, przychodzimy do poznania Boga. Można kogoś znać, ale go niewielbiać. Można kogoś uwielbiać chociaż go nie znamy. Bóg tylko jako najwyższy stwórca nieba ziemi i morza, dał nam się w dziełach swoich poznać, a w skutek tych dzieł wielkich i niepojętych, wzbudził w nas najwyższą cześć i uwielbienie dla siebie.

Ten sam Bóg panie, w osobie pana Niemcewicza dał mnie sierocie ojca, opiekuna i dobroczyńcę.

I ten sam Bóg Panie! nie wypuści z opieki narodu którego ja z dumą nazywam się członkiem a nawet chociaż żyd, obywatelem.

Ale ja pana przepraszam; z prostego a i tak długiego opowiadania historii mojego życia, wpadam w jakieś rozprawy, nie mające z założeniem związku, lecz Bóg widzi, że je myśl szczerą i serdeczną wypowiedzieć kazala.

Wracam więc do mojego Hamburga. Widok rozległego morza, niezliczonej liczby okrętów, nadzwyczajny ruch znoszących towary, pełnych wesołości i swobody majtków okrętowych, nowe i silniejsze nad wszystko dotąd zrobił na mnie wrażenie.

Wszystko to tyle dla mnie miało zajęcia i uroku iż w porcie tym pod wpływem nowych wrażeń kilka godzin spędziłem, a myślą moją już się do towarzystwa tych majtków, już się do tych nieznanych dla mnie z położenia i nazwisk zamorskich przenosiłem krajów.

Te godzin kilka, były dla mnie znowu chwilą ważną, ważną tem bardziej że jak się pan przekonywasz, byłem z natury rzutnym, i w jednej chwili bez długiego namysłu o losie swoim stanowiącym.

Celem posilenia się wstąpiłem do pierwszej, lepszej knajpy, najbliższej portu będącej.

Towarzystwo jakie w niej zastałem, było liczne i wesołe.

Byli tam prawie sami majtkowie. Wszyscy oddychali tą swobodą, jaka kilkumiesięczne trudy żeglugi i wszelkiego rodzaju nieodłączne od niej prywacje wynagrodzić miała.

Śmielszy w mojem nowem ubraniu, zająłem miejsce przy stoliku, przy którym trzech majtków siedziało. Związałem z nimi rozmowę.

Rozmowa przy groku coraz była otwartzą.

Wkrótce piliśmy razem, i wkrótce dowiedziałem się że należą do statku kupieckiego, mającego wypłynąć za dni dziesięć do nowego Jorku, do Ameryki.

Gdzie była Ameryka? jak daleka i którą tam podróż? tego niewiedziałem i to było dla mnie rzeczą objętną. Ale to pamiętam, że po godzinnem z owemi majtkami obcowaniu, już stały w myśli przedsięwzięłem zamiar udania się z niemi nie tylko do owej Ameryki, ale gdziekolwiek by płynęli.

Wszystkie przygody podróży opowiadali w sposób taki, iż nie obawę, nie wstręt do nich, ale ciekawość i niepohamowaną chęć doświadczenia ich we mnie obudzili.

Kapitana statku swego wychwalić się dosyć nie mogli.

Pod tym wpływem wrażeń, z nowym znowu planem udania się do zamorskich krajów, rozstałem się z niemi, których już prawie za przyszłych towarzyszy zamierzonej podróży uważałem.

Pod tym wpływem wrażeń wróciłem do domu.

Noc przepędziłem bezsennie, bez troski o przyszłość swoją, ale bijąc się z myślami jedynie, jakim sposobem zamierzoną z niemi podróż przyprowadzić do skutku.

Na drugi dzień, równo ze dniem byłem znowu u portu i znowu spotkałem moją znajomość okrętową.

Tym razem już wszystko szło łatwiej, bo ja byłem zapraszającym do knajpy.

Zaprosin nie byłem w potrzebie powtarzać. A przy koniaku i groku przyszliśmy wkrótce do tego że im wynrzyłem życzenie moje zostania majtkiem na ich okręcie.

Oświadczenie moje serdecznie było przyjęte, tem zaś serdeczniej, że mieli polecenie od kapitana zwerbowania dwóch ludzi, potrzebnych do służby okrętowej.

W dwóch też niespełna godzinach potem już byłem przedstawiony kapitanowi, przyjęty do służby okrętowej, a tego samego dnia jeszcze od stóp do głów ubrany w mundur, majtkom właściwy. Mieszkanie moje z stałego ładunku zamieniłem na mieszkanie pływające w którym do drugiej półkuli świata miałem się przenieść.

Byłem szczęśliwy z mojego nowego zawodu a tak gotów do spełnienia wszelkich poleceń, i z taką chciwością

wszystkiego co do mnie należeć miało nauczyć się pragnąłem, że to trudno wypowiedzieć.

Hamburg, to piękne, to wielkie i zajmujące miasto, już mnie nudziło.

O Pradze, o owej nieszczęśliwej Pradze, a nawet o Poznaniu i Wrocławiu w których tyle doznałem powodzenia, już zapomniałem.

Nie tylko dnie, ale godziny rachowałem do terminu w którym okręt nasz miał odplynąć.

Takie to w ówczas na mnie każda nowość robiła wrażenie. Pamięcią przeszłości nie byłem zajęty, przyszłość nie była celem moich marzeń, a terażniejszość jako nowość o tyle mnie zajmowała, o ile w niej chęć puszczenia się we świat daleki i nieznaną rzeczywistość widziałem.

W pewnych już tylko godzinach, i to z wiedzą przelożonego udawałem się z okrętu na ląd lub do miasta.

Z moimi towarzyszami byłem na stopie najlepszej zażyłości.

Zanim jednak do tego przyszedłem, kapitał mój, ów kapitał, którym zamki na lodzie budować miałem, ograniczył się do kilkudziesięciu talarów.

W kilkanaście dni po zaciągnięciu się do tej nowej służby, w skutek zbyt w mocnych napojach, do czego mnie moi towarzystwo wciągnęli, zapadłem w ciężką chorobę. Zanim z niej wyszedłem, statek nasz naładowany opuścił Hamburg, a nowa choroba morska, nieznośniejsza od tamtej, przywitała mnie na pełnem morzu ze wszystkimi, najprzykrzyszejszemi następnościami.

Po kilku dniach dopiero zdrowszy wyszedłem pierwszy raz na pokład okrętowy.

Ta chwila panie! była także jedną z tych w których największych wrażeń doznałem.

Rzuciłem ciekawie okiem w okolo! Niebo tylko i morze! Morze i niebo!...

I nic więcej nie widziałem!...

O! panie tego wrażenia opisać nie potrafię! Pamiętam tylko, że już nie za Hamburgiem, już nie za Wrocławiem i nie za Poznaniem, w których takie powodzenie miałem, ale za ową Pragę, w której mnie tyle nieszczęść spotkało, i od której jak najdalej być pragnąłem, serdecznie w ówczas zatęskniłem, i zapłakałem rzewnie.

Ale i to minęło!

Zachowanie się moich towarzyszy, ich ciągła i nieprzerwana wesołość w obec zwykłych zatrudnień, dodawała mi odwagi, a zresztą trzeba było i miną nadrobić, bo innego środka nie było.

Wiatr mieliśmy najpomyślniejszy, płynęliśmy szybko, choć mnie się zdawało, że w miejscu stoimy, bo żadnych przedmiotów na którychby oko spocząć mogło, przed sobą, za sobą i obok siebie niewidziałem! Ciągłe tylko morze i niebo! niebo i morze!...

Po jedenasto - tygodniowej żegludze, dziwne też na mnie znowu zrobiły wrażenie, radość i głośny okrzyk majtków: „ziemia! ziemia!”

Tej radości ja z nimi podzielić nie umiałem!

Ale bo jakże wraz z nimi cieszyć się mogłem? kiedy żeby to, co mi gdzieś w dali pokazywano, wzięść za stały ład, potrzeba by było albo wielkiej wiary, co było dla mnie w obec zwątpienia jakie mnie owładnęło, niepodobnem, albo wielkiego, długą żegluga nabytego doświadczenia, którego mieć jeszcze nie mogłem.

Szczerze też wyznaję, iż chociaż co dzień modlitwą wielbiłem Boga, podziwiałem wielkość świata patrząc na niezmierzone okiem niebo i morze, zwątpiłem jednak zupełnie, że jeszcze kiedy w życiu stały ład zobaczę, i że zdrowy i cały chodzić po nim będę.

Ten nowy, ten nieznaną świat, do którego się bez namysłu, bez najmniejszych o nim pojęć wyrwałem, w skutek jedenasto - tygodniowej żeglugi zamknął się już dla mnie w tym statku na którym płynąłem, i w liczbie tych ludzi, którzy załogę jego składają. Życie tak jednostajne, bezbarwne, strawiło umysł mój, szukający nowości, a żadnymi wiadomościami geograficznymi nie zasilony.

Owe marzenia przyszłości umilkły, za przeszłością tęskniłem a terażniejszość najsmutniejszym obrazem myśli moją dręczyła.

Wpłynęliśmy nareszcie do portu i stanęli u brzegów Filadelfii.

W tej dopiero chwili i ja uwierzyłem, że znowu będę na stałym lądzie. Ale i w tej chwili zrobiłem najmocniejsze postanowienie, ażeby tego stałego lądu, z którym się spotkać już nie miałem nadziei, więcej nigdy nie opuszczać.

Miasto portowe Nowy-Jork nie mogło równać się z Hamburgiem. Cała jego ludność, ruch, życie zamknięte jedynie były w samym porcie. Miasto zaś samo się wydawało cichem, głuchem i bezludnem.

Wiadomo panu że Nowy-Jork wówczas zaledwie 30,000 mieszkańców liczył.

Prócz z kapitanem i z kilkoma towarzyszami, mówiacami po niemiecku, z nikim w mieście rozmówić się nie mogłem, bo prócz języka polskiego i żydowsko-niemieckiego innego w ówczas nieposiadałem, tam zaś wszyscy prawie tylko po angielsku mówili.

Przyjmując służbę na okręcie kupieckim, nie miałem zamiaru służbie tej stale się poświęcić, użyłem jej jedynie za środek, z którego pomocą, chciałem się dostać do tych zamorskich, nieznanym krajów, w których wymarzyłem najobfitsze żniwo zarobku i zysków.

W tym jednak nowym świecie, jak w ówczas tak i teraz podobno, wielkie tylko zdolności zaledwie zapewniały byt przyzwoity, a wielkie tylko kapitały były rękojmnią powiększenia majątku.

Nauk i zdolności żadnych nieposiadałem, a kapitał mój, sześćdziesiąt kilka talarów wynoszący, zaledwie na kilka dni zapewniał zaspokojenie życia.

Widziałem więc tylko przed sobą ciężką i mozolną pracę, i gdybym w tym kraju pozostać zamierzył, trzeba było ową korzystną skrzynkę z towarami kolportera Wrocławskiego, na siekiere, rydel, motykę lub widły zamienić.

C. d. n.

NOWE DZIEŁA.

Nowa podróż na około ziemi odbyta na fregacie Ermancy

przez

Dr. Antoniego Zanowicza.

opowiedział Dr. T. Tripplin.

(Ciąg dalszy).

Królowa miała na sobie szlafrok biały, na głowie zawój z błękitnego, złotem przerabianego muszlinu, na szyi przepyszne perły, produkt muszli krajowych. Siedziały za nią starsze i młodsze kuzynki, między którymi ładne wcale twarzyczki. Najpiękniejsza między nimi była Talaja, szesnastoletnia dziewczyna, cery spiżowo - oliwkowej. Ale rysy miała tak regularne, tak szlachetne i tak piękne, że wszyscy europejczycy patrzyli z nieudaniem zdumieniem na to prawdziwe cudo piękności. Siedzieli także za królową dwaj jej mężowie. Pomare-Tane, obecnie urzędujący małżonek, miał na sobie szkarłatny mundur angielski; drugi zaś rozwiedziony z nią mąż, lecz żyjący przy jej dworze, Pomare-Poufaj czyli lew morski, ojciec pięknej Talai, ubrany był w stary mundur pruski, darowany mu kiedyś przez sławnego Adalberta de Chamisso, znakomitego poetę i naturalistę, który podróżował z kapitanem Kotzebue. Pomare-Poufaj jeden z najdzielniejszych wojowników Otaickich, miał rysy bardzo szlachetne, spojrzenie śmiałe; nogi jego niczem nie okryte, staramie bardzo były tatowane w esy i floresy lazuruwej barwy. Nie lubił anglików, i choć oficjalnie protestantyzm wyznawał, skłaniał on się więcej do katolicyzmu i do dawnego bałwochwalstwa. Był wielkim przyjacielem francuzów, jakoż skoro dojrzał przybywających zawołał zaraz:

— Tajo-Tajo Francesi! windi wiwi!.. co znaczy: Przyjaciele francuzi! przyjaciel ja zawsze wierny.

Zaraz za królową i jej małżonkami siedział pan Pritchard. Miał wówczas lat 46; suchy, chudy, żółciowy, dumny, nieprzystępny, zimny i rozważny, wyglądał jak zwykle wyglądają anglicy, wyszli z niskiego urodzenia, gdy się dochrapią znaczenia i majątku, co oczywiście przypisują własnemu genjuszowi nie zaś okolicznościom.

Doskonale były zagadnienia królowej do każdego grzecznie z osobna; naprzykład:

— Ciesz się mnie że tak rozumnie wyglądającego mężczyznę poznaję.

— Ach! jakiś pan chudy, widzę że się kochasz!..

— Dobrze panu w tym mundurze.

— Rumiany pan jesteś jak kwiat agawy.

— Jaki pan duży, jak mój przeszły mąż Pomare-Poufaj.

Do Zanowicza którego kapitan przedstawił jako sławnego lekarza, rzekła: że dotychczas nie wiedziała żeby tyle głębokiej nauki zawierać się mogło w tak przystojnym i młodym człowieku.

A zarazem powiedziała coś do Pritcharda śmiejąc z niego i szydząc, na co ten odpowiedział z mruklivem spojrzaniem:

— *Hold your tongue Majesty!* to jest: Trzymaj język za zębami najjaśniejsza pani.

Zanowicz nie miał wszakże oczu tylko dla pięknej Talai, której wzrok przenikliwy także na nim spoczywał. Dziwne jakieś oładnęło go uczucie. Jednym słowem rozkochał się na piękne. Romans jego z Talają staje się odtąd główną osnową podróży w kolo świata. Podróż sama jest tłem tylko tego głównego obrazku.

Rozdawano dary, w które powiększej części obdarowani zaraz się ubierali. Talaja dostała buciki z czerwonego safianu i włożyła je zaraz na malutkie nóżki swoje, śmiejąc się z bosych nóg ojca, który nawzajem litował się że u niej pierś prawa była odkryta. Był to znak że Talaja należy do dziewic przysięgłych, Luizzia Polangi, które ślubują czystość i niewinność do roku siedemnastego zwykle, i które wolno karać śmiercią temu, któryby poślubiwszy ją przekonał się o niedochowaniu przysięgi.

Nie będziemy wszystkich innych drobniejszych opisywać szczegółów, które zresztą niemają nic w sobie zajmującego. Powiemy tylko że zaraz przy pierwszej audiencji udało się kapitanowi Riffat zaszachować anglika; z powodu bowiem jakiegoś statku który osiadł na mieliznie a którego chciał ratować kapitan Riffat, mimo że się temu Pritchard sprzeciwiał, aż go musiano z rady wyforować; wyrobił sobie u królowej znaczną pomoc w ludziach i materjale budulcowym. Układ zwyczajem tamtejszym zaprzysiężony został w Moraju wielkiego Pomare IIgo. Moraj jest to grobowiec, przez Otajezyków wielce szanowany.

Tu zaczyna się romans z Talają, opisany przez p. Triplina z europejską szczegółowością i artystycznością powieściarską, która nieraz zabawnie odbija od tła obrazowego. Talaja z ojcem mieszkają na wyspie Eimeo, która jest prawdziwym rajem co do położenia swego, i roślinności. Zanowicz jeździ tam często bardzo, po części dla syna Pomare-Poufaja, rannego w nogę Solopa — Wawa, co znaczy kulawy sokoł, a po części dla pięknej jego siostry.

C. d. n.

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki w październiku.** Stara to moda, tyle razy wysmiana, a jednak zawsze się utrzymująca, że kto nie może zawiązać rozmowy, zaczyna od pogody i drogi. Trzymając się tej mody zaczynam doniesieniem że u nas jesień jest nadzwyczajnie piękna i choć na oziminy zdało by się więcej nieco deszczu, jednak one bardzo pięknie wyglądają, ztąd też różne czynią wnioski i nadzieje na przyszłość, jedni z wiosną spodziewają się zmian wielkich, wielkiego urodzaju i obfitości i t. p. i z tego się cieszą; drudzy zaś na tę myśl rozpaczają; niebaczni, nie pomną ile to jeszcze zmian i losów ta ozimna przejść musi nim się w dojrzałe ziarno zamieni. Wszakże z doświadczenia lat ostatnich wiemy że w zamian za piękną jesień nawiedza nas wiosna, której najodleglejsza strefa północna by się niepowstydzila, wszakże mamy zazwyczaj mrozy w Kwietniu a nawet w Maju, więc to co dziś się zdaje tak pięknem i pełnem nadziei, kto wie czy znowu mroz jak i północny nie zwarzy. —

Przybycie pierwszej lokomotywy do Dembicy i wiadomość umieszczona w «Czasie» o mających przebiegać szybkożwach z Tarnowa przez Radomyśl do Żwikowa, sprawiła nam mieszkańcom nadwiślańskim, pozbawionym wszelkiej komunikacji, wielką radość; bo jakże to było naprzykład dla mnie będzie, gdy dostawszy się ćwierć mili do robionego z *biota* gościńca, siądę do szybkożwozu i będę pewnym że nie tracąc chwili, mogę zwiedzić całą Europę. Wprawdzie ta gorąca podróżomania ochłodzi się nieco w przejeździe do Tarnowa, bo kto wie czy szybkożwoz czasem i dwa razy nocować nie będzie musiał. Ale przecie pojedą pocztą, pocztyljon swoją trąbką, a niewątpliwie że trąbić będzie umiał, przerwie mi jednostajność drogi piskowej, a choć nie dziś to jutro albo może po jutrze dostanę się do kolei, przecież ta kolej mnie nie minie, bo kiedy w życiu nikogo zła lub dobra nie mija kolej, czemuż by mnie żelazna minęła!

Dla nas zatem wiek postępu i wynalazków jest nieocenionym. Cóż jednak powiecie, iż wiem wypadek, gdzie kolej i telegraf narobił wiele ambarasu i ściągnął na siebie przekleństwa; rzecz się tak miała:

Z sprowadzonych w moją okolicę pruskich Szlązaków, trzech zateknięto za krajem i wzięwszy bosc nogi za pas, puścili się do swego drogiego *Heimathu*. Spieszyli się tem więcej że ich połowice miały tu przybyć, więc się spodziewali jeszcze je w domu zastać.

Przyczyną tej ucieczki miał być zły wikt, jaki im dawano, czemu nietylko zaprzeczyć mogę, ale dowieść szkieletami z 7miu czy 8miu psów, z których mięso zgłodniałe Szlązaki pożarły. (historyczne) Widać zatem że niewymysłają i mają strawne żołądki. Koniec końcem, biedne ludziska zapomnieli o tem że są teraz telegrafy i niepomalu się zdziwili, gdy ich w Krakowie na rogatce schwymano. Połowice zaś tymczasem, spragnione uścisków małżeńskich, za pomocą kolei dostały się prędko do Krakowa i przybyły na miejsce z kądem małżonkowie uciekli właśnie wtedy, kiedy depesza telegraficzna o schwyтaniu ich doniosła. Proszę sobie wystawić co to było płaczu i zgrzytania zębów, a cała wina naturalnie spadła na telegraf i kolej żelazną, bo gdyby nie pierwszy, to męzulków nie byłiby w Krakowie schwyтali, żeby nie kolej to one nie byłyby tutaj. Zapewne przy ukończeniu kolei żelaznej ten nowy zagraniczny element: który ma podwoić bogactwo narodowe, mając ułatwioną komunikację cisnąć się do nas będzie z ochotą. Jako miłośnik psów niebardzo się z tego cieszę, bo kto wie czy moje ulubieńce nie pójda na rożeń Szlązaków.

Co się tycze praktyczności i pożytków w sprowadzaniu tych obcych robotników do kraju, to dopiero czas (nie Czas krakowski) pokaże; i dziś nikt tego pomysłu żądności nie może i wierzyć ślepo nie powinien, a każdemu chcącemu *par force* utrzymać swoje twierdzenie, powinien pamiętać, że kwestja ta jest zbyt niebezpieczna i delikatna a więc jej nikomu lekkomyślnie traktować nie wolno!

* Przed kilku tygodniami donieśliśmy o chłopczyźnie który zamknięty w klasie za karę, skoczył z piętra przez okno. i moeno się uszkodził. Wiadomość iż skutek tego uszkodzenia umarł, była mylna. Chłopczyzna ten, nazwiskiem Jan Pasterczuk, żyje i już nawet w tej chwili znajduje się w stanie rekonwalescencji.

* Pozawczoraj o godzinie 7 zrana wysłani od sądu krajowego urzędnicy zajęli w sekwestr majątki ruchome współników kilku, należących do sprawy tyczącej się liverunków.

Przyjechali od dnia 2. do 5. Listopada do Lwowa.

Hr. Skarbek Władysław, z Przemyśla. hr. Łoś Tadeusz, z Narola. Hr. Dzieduszycki Włodzimierz, z Poturzyc. PP. Lewicki Józef, z Buncwa, Krzyżanowski Ignacy, z Jaryczowa. Zagórski Mieczysław, z Wołkowa. Taborasiewicz Bazyli, z Czerniowiec.

PP. Sokessewicz, z Krakowa. Zagórski Karol, z Tarnopola. Dobek Konstanty, z Sarnek. Laszowski Tymon, z Liezkowiec. Sozański Celestin, z Błozwy. Jaruntowski Jan, z Małkowiec.

Hr. Czacki Alexander z Jarosławia. Hr. Borkowska, z Szuparek. Hr. Lanckorońska, z Cieszanowa. PP. Trzciniński Piotr, z Gródka, Tarnowiecki Marcin, z Przemyśla. Obniski Wiktor, z Manastyrzysk. Wysogórski Karol, z Manastyrzysk. Bogdanowicz Józef, z Rykliniec. Domaracki Sew., z Stanisławowa. Hosh Edw., z Pukienicza. Obertyński Wład., z Krakowa.

Wyjechali od dnia 2. do 5. Listopada ze Lwowa.

Hr. Komarnicki Roman, do Złoczowa. PP. Turczyński Jan, do Żółkwi. Kozłowski Antoni, do Podkoża. Serwatowski Wojciech, do Buczniowa. Ronwers, do Krakowa.

PP. Bocheński Wiktoryn, do Żurawa. Szczepański Józef, do Danilcza. Strzelecki Henryk, do Gajów. Starzewski Tadeusz, do Stanisławowa. Schönhofer, do Gródka.

PP. Jaworski Apol., do Ordowa. Antoniewicz Ant., do Skomoroch. Głogowski Artur, do Bojanca. Torosiewicz Maurycy, do Ostrowa. Zagórski Mieczysław, do Czech, Strzelecki Jan, do Kukiżowa. Tarnowski August, do Żółkwi. Karger do Jarosławia.

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówka	towarem.
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 13	złr. 5 kr 17
Dukat cesarski	5	16	5 " 19
Półimperyal zł. rosyjski	8	57	9 " 3
Rubel srebrny rosyjski	1	43	1 " 44
Talar pruski	1	40	1 " 41
Poleki kurant i pięciozłotówka	1	43	1 " 14
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	90	30	91 " —
Galicyjskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	66	45	67 " 15
5 proc. pożyczka narodowa	78	15	79 " 15

Kornel Kawecki

nauczyciel tańców

zawiadamia szanowną Publiczność, iż rozpoczyna kurs nauki tańców najnowszych salonowych, tudzież popisowych z baletów paryskich, wiedeńskich i warszawskich, tak w swoim pomieszkaniu przy ulicy niższej Karola Ludwika pod l. 258²/₄, jako też i na wezwanie po domach prywatnych.

(209 2—3)

Handel Antoniego Schicka wdowy

WE LWOWIE

miasto, ulica dykasterjalna Nr. 56.

poleca swój wielki skład tak wiedeńskich jak i prawdziwych amerykańskich

gumielastycznych

KALOSZY.

Ceny są tak umiarkowane, iż żadnej w tym względzie handel ten nie obawia się konkurencji.

Co się tycze dobrego gatunku kaloszków tyle tylko nadmienię, iż od lat 15 sprzedając ten towar, co roku coraz więcej sprowadzam i zbywam, co jedynie zawdzięczam wybornej jakości towaru. (198. 3—3)

Melodikon czyli harmonika,

instrument Deutschmana, mahoniowy na 6 octaw, i fortepian są za umiarkowaną cenę do sprzedania lub wypożyczenia. Bliższa wiadomość w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

(200 2—4)

Bei J. Milikowski in Lemberg ist zu haben:

J. Handtke's specielle Karte des Kriegsschauplatzes in Süd-Russland (Nordküste des Schwarzen Meeres), mit Plänen von **Nikolajeff, Cherson, Kinburn und Otschakoff, Odessa, Perekop.** Grösstes Landkartenformat 48 kr. Dabei machen wir auf Handtke's so ausgezeichnete **Special- und General-Karten** der **Krimm, des Kriegsschauplatzes in Asien, der Pläne von Ssewastopol, des Asowschen Meeres** und die grossen **Karten von Russland** und des **Schwarzen Meeres** aufmerksam.

(211—1)

Pijawek

w małych partyach aż do ćwierć kopy, kopa po 5 złr., w większych zaś partyach po mniejszej cenie można z pierwszej ręki dostać w aptece Franciszka Tomanka pod srebrnym orlem we Lwowie; przyjmują się także wszelkie posyłki na prowincyą. (208 2—4)

Do udzielania nauki muzyki

fortepianu, tudzież języków niemieckiego i polskiego szuka pewna osoba umieszczenia jako nauczycielka, albo do towarzystwa. Bliższą wiadomość udzieli księgarnia H. W. Kallenbacha we Lwowie. (206—2)